

RELACJA

Mariana Laskowskiego

nagrana 13.12.91 w Gdańsku przez Małgorzatę Strasz

ARCHIWUM WSKAZUJE

Kopalnia nr 18 na Workucie. Udało się nam dosyć szczęśliwie, bez żadnego rozlewu krwi i bez niczego. Nazwisk nie pamiętam. Wiem, że tam kierowali jacyś Rosjanie. Polonia tam była mała, kilka osób. Ja, Zieliński czy Żyliński (nie pamiętam) Janek, Kuźmich Bronisław, kilku jeszcze. Jeszcze dwóch — zastrzegam, że w 1953, bo tam się zmieniało. Dość często przierzucali z obozu do obozu. Sama akcja tego strajku — u nas nie można powiedzieć, żeby bunt był, czy coś takiego; strajk. Był chyba dość dobrze, mądrze zorganizowany, pod kątem takim, że na zewnątrz nie było żadnej demonstracji. Wjeżdżaliśmy wszyscy tak, jak było trzeba, zgodnie z rozporządzeniami, z nariadem, do kopalni i nic nie robiliśmy. I to trwało 8 dni w sumie. Nic nie mogli. Obóz nie mógł zarzucić, że nie wychodzimy do pracy. Kopalnia też, no co? Zmusić więźnia nie można, niestety. Ciężko było — zimno, latem i zimą plus dwa — trzy stopnie, ale się siedziało. Ja ze swojej strony — może śmieszne, może nieistotne wcale... Pracowałem jako elektro-słusarz. Miałem dostęp do narzędzi i zlecenie takie miałem: robić i ostrzyć noże. Tego nie można było na zewnątrz, w mechanicznym cechu, pomimo, że tam było wszystko co potrzebne. Zjeżdżało się do kopalni. Ja byłem konserwatorem szybu. Gdzieś w połowie szybu się zjeżdżało, tam koledzy podłączyli końcówkę ze sprężonym powietrzem i taką ręcznie zrobioną, ale bardzo dobrze, szlifierkę ręczną na sprężone powietrze. Miałem już pocięte kawały [metal] i tam to szlifowałem. To jest moje.

Chyba po sześciu czy siedmiu dniach przyjechali jacyś przedstawiciele, prawdopodobnie z Moskwy, tak przynajmniej przedstawiali się. To już chyba było siódmego dnia. Jakiś generał, bo w czerwonej otoczce na czapce; „co chcecie, jak, żądania”. Żądania były — przecież do tego czasu nie było ani wolnych dni, ani świąt, nic. Pracowało się na okrągło. Baraki były zamykane, do śmierci Stalina, trudno mi powiedzieć czy to było już po strajku? Po przyjeździe z pracy barak był zamykany na klucz. Najpierw do stołówki i później na klucz. Wartownik siedział przy wejściu, zamknięte było na klucz. Mieli wypuścić, stworzyć warunki. Przecież nie mieliśmy do tego czasu ani kocy, ani materaców żadnych. Cudownie, jeżeli ktoś pracował na suchym odcinku. A bywało, i większość, że kopalnia była mokra. Przychodziło się zmokniętym do skóry. I w tym trzeba było kłaść się. Założyło się do suszarki na pięć, sześć godzin, to trochę przeszło i później tym się nakrywało. Więc walka była o jakieś koce, o jakieś...

Generał wysłuchał wszystkiego ładnie, powiedział że „*posmotrim, razbieriom*”. I rzeczywiście. Chyba po upływie około miesiąca zmieniło się. Dałi koce, dałi sienniki — worki, które można było czem kto potrafił napchać, trocinami czy trawą, słomy nie było. Trochę się zaczęło zmieniać.

Właściwie już w 1954 dużo się zmieniło. Niby — dobrze pracującym zaczęli zezwolenia wydawać na wyjście poza obóz. Raz na dwa tygodnie można było do znajomych, trochę wolnych było przecież, wychodzić. Na 8 godzin, później pozwolili trochę dłużej, do 24 godzin. A później, to też był szatański pomysł, ogłosili, że dostarczą elementy (takie coś a la fińskie domki) do budowy domu. Można było sobie grupę zrobić; kto wybuduje domek, będzie mógł mieszkać na wolności. Prawdopodobnie przypuszczali, że kończy się już nabór więźniów, a wybudować coś trzeba — kopalnia musi istnieć. Ja, między innymi, włączyłem się do tego. Tak, że do 1955 roku byłem więźniem.

Jeszcze wielkie osiągnięcie — koniec 1954 czy w 1955 zdjęli nam numery. Wolno było chodzić już bez tych wyciętych lat na plecach, na kolanach, na całym ubraniu. Jeszcze jedno — tak zwane *zaczoty*, też szatański pomysł. Kto wypracuje 100 procent to ma dzień za dzień, a jeżeli ktoś już 110, czy 120 procent, to półtora dnia do dwóch dni. Praktycznie ja sobie zarobiłem 3 lata, z których nie skorzystałem. W 1956 roku wezwał mnie tzw. *oper polnomocny* przy obozie. To był taki polityczny. Wzywa. Ja w tym czasie byłem już na wolnym osiedlu. Zastanawiałem się, co chce? na wolnym osiedlu, ale na prawach więźnia. Myślę sobie czy coś przeskrobałem? Nie wolno było do miasta jeździć, do Workuty (było około 20 km do miasta od naszej kopalni). Jeździłem tam, ale nikt mnie nie złapał. Może ktoś powiedział, może coś, może się wódkę piło? Też się piło, też nie wolno było. Przychodzę, melduję się zgodnie z regulaminem, słyszę: „proszę bardzo, siadajcie”. Myślę sobie: czy tak źle, czy tak dobrze? No i zaczyna ideologiczną gadkę: „*Sowietskie prawitielstwo* jednak rozpatrzyło waszą sprawę...” Ja chyba z pięć razy pisałem, że jestem niesłusznie osądzony, że tego... Pisałem to do Moskwy, ale nigdy nie uwierzę, żeby to w Moskwie było, jeżeli po tygodniu już była odpowiedź, a do Moskwy cztery i pół doby pośpiesznym pociągiem się jedzie w jedną stronę. Po tygodniu już odpowiedź była, że sądzony prawidłowo i wszystko. Rozpatrywali przypuszczalnie tam na miejscu. No ale jednak — „rozpatrzyli Waszą sprawę i od dzisiaj jesteście wolnym obywatelem”. Wstaje, podaje mi rękę. Od ręki kartkę napisał, jedną, drugą — „tę do biura paszportowego, drugą do *wojenkomatu*. Jutro macie jechać i załatwiać”. No i tak mi się skończyło, że *zaczotow* nie zaliczyłem, bo zgodnie z *zaczotami* miałem w marcu wyjść na wolność, a mnie w styczniu zwolnili.

To jest tak w wielkim skrócie, po prostu. To jest kawał historii, kawałek życia.

W czasie strajku ostrzył Pan noże. Miały być traktowane jako broń?

Jako broń, do samoobrony. Ja to robiłem, inni coś innego, ale już poza moją gestją. Na swoim odcinku to ja robiłem. W tej chwili to bywa śmieszne, co można z nożem czynić, czy nawet z siekierą, czy z tasakiem na uzbrojone wojsko? Ale coś takiego się robiło.

Wspomniał Pan, że Rosjanie kierowali tym strajkiem.

Nazwisk nie pamiętam już teraz. Wiem, że chyba siedmiu czy ośmiu po zakończeniu strajku, wyluskali, i to byli —

podobno, tak przynajmniej wszyscy twierdzili – organizatorzy Wysłali ich chyba na tzw. *szafranoj*, o wzmocnionym reżimie.

To byli frontowi żołnierze? Jak można ich skreslić?

Chyba dwóch albo trzech napewno było wojskowych. Zresztą tam z Rosjan dużo było frontowych; przeszli cały front i za głupotę, albo coś klepnęli, albo pochwalili się jak to na Zachodzie jest; dostawali od razu 15 albo 20 lat. Dziesiątka to najmniejszy wyrok za gadanie niepotrzebne.

A jak został ogłoszony strajk, jak dowiedzieliście się o nim?

Po prostu w każdym baraku był taki współorganizator. „Wiecie chłopcy, jutro...” Rosjanie, tam po rosyjsku się rozmawiało. Mówi: „*Zawtra idiom*, idziemy do kopalni. Inne kopalnie też się organizują i musimy wspólnie.” No w porządku, przy takich wyrokach, to co nam straszne? Tym bardziej, że nie szliśmy na wartowników, nie walczyliśmy. Mówię, że u nas bardzo spokojnie. Może dlatego, że tak zorganizowane było. Wiem – na 27 kopalni podobno zginęło wtedy sporo ludzi, kilkunastu ludzi chyba rozstrzelali. W czasie walk takich, zamieszek rozstrzelali. Natomiast u nas tego nie było.

A czy strajk był zaskoczeniem?

Był, dla nas był zaskoczeniem. Dla nas był wielkim zaskoczeniem. Szczerze mówiąc, nikt nie myślał o czymś takim. Bo co można? Jak to jest 1000 kilometrów... Kilka razy próbowali niektórzy uciekać; nigdy, nikomu się nie udało. Do najbliższych lasów jest około 1000 kilometrów, na południe. Tundra, tubylcy tak ładnie zorganizowani, oczywiście przez NKWD, że wylapywali wszystkich, kogo tylko w tundrze spotkali. Za to dostawali podobno nagrody dosyć wysokie. I jeżeli złapali gdzieś w pobliżu Workuty, to nigdy żywego już nie przywozili, zawsze rozstrzelanego. To było dosyć makabryczne. Na wartownię kładli i leżał tam tydzień, 10 dni, żeby wszyscy widzieli skutki.

Jeden jedyny, który uciekł, i przez głupotę trafił z powrotem. Ale był aresztowany już pod Moskwą, to go żywego przywieźli, tam już inne prawa obowiązywały niż na Workucie.

To nie był Polak?

Nie, nie, Rosjanin. Nawet znałem go dość dobrze. On pracował w łaźni dla wolnych. Miał tam bliskie kontakty z wolnymi i zgadał się. W tej chwili trudno mi powiedzieć z kim, bo to była wielka tajemnica. W każdym bądź razie zimą to mu się udało, kiedy wszyscy zakutani, *purga*, dmucha wiatr, do tego mróz 20 – 30 stopni. Przeszedł przez wartownię na nazwisko kogoś innego. Tam miał miejsce u tego wolnego, przesiedział tam 4 miesiące. Kiedy już skończyło się całe szukanie – jeżeli więzień ucieknie, to jest do miesiąca szukanie, rewizje, straszne rzeczy, dziabanie każdego wagonu z węglem. Takie szpikulce były, którymi do dna można było przedziubać załadowany wagon. Przesiedział tam, w międzyczasie prawdopodobnie tamci załatwili mu dokumenty – że jest górnikiem, jedzie na urlop. Wszystko miał, były nowe dokumenty, wszystko pięknie, ładnie. Jak wyjeżdżał, mówił, od miasta Workuty do Pieczory sześć razy kontrola była. To jest gdzieś ponad 1000 kilometrów, po 1000 kilometrów sześć razy dokumenty sprawdzali, dokładnie wszystko. Głupiec jechał i jechał w jednym przedziale, w jednym wagonie z jakimś pułkownikiem z Workuty. Zaprzyjaźnili się, przyjaciele, cacy, cacy. Razem sobie popijali i kiedy już zbliżali się do Moskwy, to w restauracyjnym można było dostać wódkę, koniak, wszystko. Dobrze sobie popili, on mniej, zbil tego pułkownika, zabrał mu wszystkie pieniądze. No i dobra. Pułkownik pojechał, on na najbliższej stacji wysiadł. Wszystko byłoby dobrze, żeby tych pieniędzy nie wziął; dojechałby i nikt by go nie szukał nawet. Ale tamten obudził się, do kieszeni – nie ma pieniędzy, i nie ma współlokatora. Tam na każdy wagon sypialny jest dwóch konduktorów. Wypytał ich, kto wysiadał, na jakiej stacji. I od razu go tam złapali. Jak go przywieźli, pobyl chyba ze dwa tygodnie w naszym obozie. Pewnie żeby zademonstrować, że jednak złapali. Później zabrali go na *szafranoj*. To jedyna udana ucieczka. Udana w cudzysłowie – ale mógł.

W obozach byli donosiciele. Czy często byli poskramiani, likwidowani?

Były takie przypadki. Z naszych Polaków raczej nie spotkałem. Z takimi rzeczami załatwiali bardzo cicho. Kopalnia to jest jak front – ciemno, zawsze może kawałek skały spaść na głowę i przydusić. Były takie przypadki. Ale w obozie, na miejscu w obozie jakichś samosądów raczej nie było. Z tym, że w kopalni było to zrobione celowo, a podciągnięte pod wypadek.

Nie było potem sprawców?

Nie; może domyślali się. Napewno. Zresztą takie przypadki trzy były, które pamiętam.

Był jeden przypadek, ale już chyba w 1954 roku; nie wiem, bo w 1954 albo w 55. Zlikwidowali wojska NKWD, które nas pilnowały, a dali czynną służbę wojskową. To byli zupełnie inni ludzie. Taki żołnierz pełnił swoje obowiązki, nie musiał mieć ideologicznych wielkich przekonań, tak jak tamci z wojsk NKWD. Niektórzy bez zawodu, bez niczego; wielu zostawało w kopalni. Jeden był przypadek; to był rzeczywiście taki, który dużo nagrabił, zasłużył sobie. Tak, że chyba po tygodniu też coś spadło na niego... Szybko inni którzy, którzy też w kopalni zaczęli pracować, pozwalniali się i powyjeżdżali; wystraszyli się. On zasłużył, bardzo często konwojował; był z obsługi konwojów. Kopalnia była około dwóch kilometrów od obozu. Bardzo często chodził z psem i lubił go sobie puścić swobodnie. A to wilczur, wyszkolony; rzucił się w kolumnę więźniów, szarpał. Zanim tamten go poskromił, to kilkunastu poszarpał.

Kiedys puścił psa, ten w kolumnę się rzucił. Akurat podwinął się Łotysz, przyjaźniłem się z nim. Złapał tego psa za ogon i trzasnął [o ziemię], pod nogi. Każdy kto szedł, musiał nadepnąć. Zanim kolumna, około 1000 osób, przeszła, to mokra plama. Nas wtedy przytrzymali na mrozie 20 – stopniowym. „Stać!” „Kto zabił psa?” Nikt nie wie, kto zabił psa. Właził w kolumnę... „Kłaść się!” Przytrzymali nas cztery godziny na mrozie, leżących. Mnóstwo ludzi podmrażało sobie nosy, ręce, palce u nóg. Dopiero o 11 godzinie wieczorem, w nocy, nas zwolnili. W końcu nic nie

dowiedzieli się. Próbowali jeszcze później przez miesiąc, wzywali po kilka osób, pojedynczo, z tej kolumny. „Czy nie wiesz, kto to zrobił?”. W każdym razie nikt tego Łotysza nie wydał.

To było przed śmiercią Stalina czy po?

Już chyba po śmierci Stalina, ale jeszcze przed tym, kiedy zaczęło się trochę luzować. To był może kwiecień.

Przed strajkiem jeszcze?

Tak, przed strajkiem. Może nawet jeszcze Stalin żył? Wiem, że były trzaskające mrozy, zima. Trudno mi teraz określić, kiedy to było.

Czy tuż po śmierci Stalina i przed strajkiem można było zaobserwować rzeczy, które by świadczyły o chęci wywołania prowokacji, zamieszek wśród więźniów? Ostrzejsze traktowanie, strzały do więźniów, może etap błątnych?

Błątnych specjalnie dużo nie było, więźniów. Byli, błątni to cała filozofia. Ci, którzy nie pracują. Ci, którzy współpracują z konwojami, czy z kierownictwem obozu. Dzielił się, zresztą między sobą różnił się straszliwie. Błątny albo suka, jak trafili we dwóch, to któryś musiał zginąć. Zarzynali jeden drugiego, jeżeli byli innych zapatrywań, z innych ugrupowań. Ale raczej nie, raczej [nie było wielu błątnych ani nowego ich etapu], nie pamiętam.

Operupelnomocny też nie wzywał częściej niż zwykle na rozmowy?

Nie, nie. Może ze środowiska kierowniczego?... Ale nie, nie. Przynajmniej mnie się nie zdarzyło, w moim baraku nie. W tym czasie jeszcze byliśmy zamknięci, zbyt dużych kontaktów nie mogliśmy mieć między sobą.

A jak przyjechali przedstawiciele władz z Moskwy w czasie strajku, odbyło się jakieś gremialne zebranie w obozie?

Tak, w obozie. Na terenie obozu. Powiedzieli, że dzisiaj nikt nie idzie do pracy, bo *prawicielstwo* przyjeżdża, ktoś z rządzących. Zebrali się wszyscy, jakieś podwyższenie zrobili, widać dobrze było ze wszystkich stron. Były zarzuty, żądania nasze. Obiecał — tylko pod warunkiem, że mamy iść pracować dalej, bo są ogromne straty. „Wiedzie...”, politycznie zaczął gadać. Oczywiście powiedział, że czasy się zmieniają, że będziemy rozpatrywać, że będziemy tego, a ja — mówi — jak przyjadę zaraz do Moskwy, zaraz sprawę przypilnuję i rzeczy najbardziej uciążliwe będziemy się starali likwidować.

Tyle o ile, nie wierzę żeby to zasługa naszego strajku była; po prostu chyba już takie czasy przychodziły. Nie wiem, trudno mi powiedzieć. Może trochę i wpłynęło, bo przecież te strajki były nie tylko u nas, ale (jak później dowiedzieliśmy się) i w Karagandzie, i Norylsku, i na Kółymie, wszędzie. I to mniej więcej w jednym czasie. Tak, że to przypadek nie mógł być. Strajk w kopalni nr 18 polegał na tym, że wychodziliście do pracy i nie pracowaliście?

Wychodziliśmy, zjeżdżaliśmy na dół, normalnie braliśmy numerki, lampy, wszystko i nie pracowaliśmy. W tym czasie nie wyszedł ani jeden wagon węgla. Przez osiem dni...

I krótko po tym spotkaniu z komisją postanowiliście strajku zaniechać?

To jest na drugi dzień [po spotkaniu z komisją]. Szósty albo siódmy dzień [strajku] oni byli, i ósmego dnia [postanowiliśmy wznowić pracę]; bo strajk trwał osiem dni w sumie, wiem napewno. Widocznie kwestia skontaktowania się ze wszystkimi, uzgodnienia...

Na kopalni 29 była masakra, na SZU — 2 też dwie osoby zginęły. Nie próbowano straszyć Was, że będzie tak jak tam?

Nie, nie. Oczywiście on mówił: „Jeżeli nie pójdziecie, to *wsiakie drugie miery* zastosujemy i zmusimy was, jeżeli nie chcecie. Ale ja wam obiecuję, daję *czesne słowo*, słowo honoru, że przedstawię sprawę i coś zyskacie.”

System obozów wokół Workuty nazywał się RECZ — łag. Jak można tłumaczyć tę nazwę?

RECZ — łag — trudno mi to określić. Tak było przyjęte, naprawdę nie zastanawiałem się nad tym. Może jakiś reżim, bo Workuta cała o wzmocnionym reżimie.

Spotkałem się z dwoma rodzajami wytłumaczenia — jako „reżimajaja czas” łagiercy” oraz po prostu od rzeki: Workuta była przedzielona rzeką.

Już prędzej ten pierwszy, ze względu na reżim. Raczej tak, to chyba było to.

Na Workucie były kopalnie węgla. Jakie jeszcze zakłady pracy?

Kirpiczny, cegły, elektrociepłownia i wapienny jakiś był. Może jeszcze coś na drugim końcu, cały ten kompleks jest ogromny.

Ale nie słychać było o tajemniczych rzeczach wydobywanych, o innych złożach niż węgiel?

Nie, nie. Tam z wycieńczenia padało ludzi, przeżył może jeden na dziesięciu, a może i nie. Przynajmniej tych pierwszych lat, bo już później, gdzieś w 1954 roku, to już było wydarzeniem, jeżeli ktoś zmarł. A przez pierwsze lata szczególnie, do 1950 — 51 roku, skład obozu, który obsługiwał kopalnię, 4,5 — 5 tysięcy ludzi, uzupełnienia były co tydzień, co dziesięć dni. Trzystu, czterystu ludzi i stale brakowało. Dwadzieścia, trzydzieści osób dziennie marło po prostu z wycieńczenia. Kładliśmy się razem, rano przybiega *nariadczyk*, pobudka, ruszasz go, a on już sztywny. Po prostu z wycieńczenia.

Czy nie słychać było opowieści o grupowych ucieczkach z pobliza Workuty, połączonych ze zdobyciem broni? Wyjątkowych jak na obozy wydarzeniach?

Był taki przypadek, ale już za mojej bytności w obozie. To był 1946 — 47 rok; ale nie z naszej kopalni. Nie wiem czy z 27, czy z którejś kopalni. Wiem, że rozbroili wartowników, złapali broń i wypuścili się. Prawdopodobnie gdzieś przeszli albo zginęli. Z tamtej kopalni później się dowiadywałem; mówili, że prawdopodobnie poszli na Ural. Był bliźutko, około 30 — 20 km już góry Uralu, przełęcz tak, morze [!]. Prawdopodobnie poszli na stronę azjatycką, za Ural. Czy im się udało? Albo gdzieś zginęli i nikt o nich nie wie, nikt ich nie widział, albo udało się im przejść. Bo w

każdej innej sytuacji przywieźliby ich z powrotem, pokazali. Nie było przypadku, żeby złapali, ubili i ciała nie pokazali. Ciało musiało być na wartowni pokazane wszystkim.

Tyle, co słyszałem; kilkanaście osób [wtedy uciekało]. To było w pierwszych latach, 1947–8 rok. Jak konwój przysłali z innych kopalni, to zawsze jakieś wiadomości przeciekały. Bo w tym czasie nie było żadnych możliwości skomunikowania się.

To tyle, z jedynej słyszanej... Z powrotem ciał nie przywieźli. Więc albo gdzieś w górach zginęli i pod śniegiem do dziś leżą, ewentualnie udało im się. Ale to też Rosjanie. Nie słyszałem, żeby tam Polak...

Jak się układały stosunki między poszczególnymi narodowościami w obozach? Ukraińcy zazwyczaj bywali jakoś tam aktywni.

Z Ukraińcami... Trzeba było brać dwie grupy Ukraińców. Ukraińcy ze strony rosyjskiej, to byli wspaniali ludzie. Natomiast Ukraińcy z naszych terenów, to było bardzo ciężko. Miałem kilku kolegów, z którymi starałem się nawiązać bliższy kontakt, przez dobre 4–5 lat. Byli hermetycznie zamknięci w swoim środowisku, a już jak Polak, to w ogóle nie chcieli nawet zbliżyć się i rozmawiać. Później się utemperowało, ale pierwsze lata to z Ukraińcami nie było żadnych kontaktów, bardzo ciężko. Natomiast z Białorusinami, mnóstwo Litwinów, Łotyszy, Estońców, kilku Finów – z tymi bardzo dobrze stosunki się układały. Nawet z Litwinami. Najgorzej było z Ukraińcami i to z „naszymi”.

Ale oni mieli taki stosunek tylko do Polaków, czy w ogóle do „innych”?

Raczej najbardziej negatywnie do Polaków. Do innych odnosili się może... bardziej obojętnie. Do nas, przez pierwsze lata, stosunek był nawet wrogi.

Czy to się jakoś praktycznie przejawiało, na przykład w donoszeniu, w szkodach?

Nie, nie, nie zdarzyło się. Z nami oni ani nie rozmawiali, ani nie kontaktowali się, więc co mogli donosić?. Raczej nie, nie. Ukraińcy byli bardzo ambitni, z Rosjanami też nie współpracowali, nie współpracowali.

Czy w tym obozie byli księża?

W moim nie było. Na Workucie był ksiądz, na której kopalni nie wiem. Jeździłem tam, nawet myśmy taką cichą mszę odprawiali, ale to już był 1955 rok, ja już byłem wypuszczony za obóz, mieszkałem w tym domku [fińskim], jeździłem tam. Ksiądz też prawdopodobnie już był na wolności – w domu cywilnym, prywatnym, nie w obozie.

Proszę w skrócie opowiedzieć swoje losy, kiedy Pan został aresztowany, gdzie?

W 1939 mieliśmy nieduży, jak na wschodnie, wileńskie warunki, mająteczek koło 300 hektarów. Na tamte warunki to było byle co. Niemniej jak przyszli Rosjanie w 1939 roku – „a jakże, *pamieszczyk!*”, więc stamtąd szybko uciekliśmy. Sopońce, województwo nowogródzkie. Uciekliśmy stamtąd, i dobrze zrobiliśmy, bo inaczej wylądowalibyśmy w Rosji przy pierwszej wywóźce. Wyjechalibyśmy, chcieliśmy przepchać się do Litwy, jeszcze wtedy Litwanię była radziecka. Jechaliśmy aż do Starych Święcian – granica, Stare Święciany po stronie rosyjskiej, Nowe Święciany po polskiej, w granicach 10 kilometrów jedno od drugiego. Tam chcieliśmy przejść granicę. Nie udało się to. Ale że ludzie łakomi są na złoto, ja jeszcze szczeniakiem byłem wtedy, siostra załatwiła, od naczelnika NKWD dostaliśmy paszporty. Oczywiście za ładne pieniądze, za „prezenty”. Dostaliśmy paszporty, że rzekomo uciekliśmy od Litwinów, od prześladowań litewskich. Ale jako uciekinierzy nie mieliśmy prawa 101 kilometrów od granicy jakiegось zachodniego państwa. Kazali nam wyjechać, obojętnie gdzie, byle było 101 kilometrów od granicy litewskiej. Wyjechalibyśmy, pojechaliśmy za Baranowicze, do Lachowicz. I tam jako uciekinierzy, z legalnymi paszportami rosyjskimi, przesiedzieliśmy do 1940 roku.

Jak Rosjanie zajęli Litwę, to pod koniec 1940 roku przepchaliśmy się na wileńską stronę. Mieliśmy rodzinę i w Wilnie, i poza Wilnem – Gruszewo, to jest koło Niemenczyna. Tam przesiedzieliśmy aż do przyścia Niemców.

W międzyczasie brata przyjaciela, z którym razem studiowali, był aktywnym działaczem – wtedy Związek Walki Zbrojnej, albo jeszcze w ogóle nie nazywało się... W każdym razie organizował. Wziął mnie też, zaprzysiął. Byłem o tyle o ile bystry, wyrosnięty; wziął mnie na szkołę młodszych dowódców. Rodzina pojechała z powrotem już zaraz pod koniec 41 roku, do swego majątku. Mnie jeszcze zostało parę miesięcy szkolenia, zostałem. Skończyłem ten kurs, i pojechałem do siebie. Tam mi dali skierowanie, już wiedziałem do kogo mam się zgłosić, do organizacji. Pracowałem do połowy 1943 roku na placówce, byłem dowódcą drużyny. Później zaczęło coś już głośno być koło mego nazwiska, więc nie mam wyjścia – do partyzantki! Poszedłem do oddziału.

Na początku 1942 roku wróciłem na swoje tereny. W 1943 zaczęło być trochę niewyraźnie, więc decyzja zapadła, że mam iść do oddziału. Byłem w oddziale „Krysi”, zresztą bardzo dobry oddział, na terenie powiatu Lidy. 77 pułk piechoty AK, II batalion „Krysi”. Tam przebyłem, z początku jako dowódca drużyny, a później w ramach wyróżnienia do plutonu dowódców batalionu. To było około 30 osób, laba fajna, bo to przy dowódcy – żadnych wart, żadnych służb, a na jakieś wypadki to zawsze z dowódcą, jako jego osłona. Byliśmy w akcjach. dość sporo, nie ma co wyszczególniać. Później była Akcja „Wilno”, „Ostra Brama” właściwie się nazywała. Nasz oddział nie doszedł. Było bardzo daleko, 80– kilka kilometrów od naszego miejsca postoju, kiedy zarządzona była ta akcja. Doszliśmy do Porubanka, w pobliżu Wilna, przedmieścia; lotnisko było przed wojną. I się skończyła cała historia, cofnęliśmy się. Jeszcze łaziliśmy, chyba z miesiąc, między Rosjanami. Już rosyjskie wojska były, nas nie ruszali, my ich nie ruszaliśmy.

W międzyczasie podobno pertraktacje naszego dowództwa o włączeniu nas do zgrupowań rosyjskich, nie dogadali się, w końcu naszych dowódców wszystkich aresztowali. Zdążyli jeszcze zrobić tą niby koncentrację w okolicach Miednik. W okolicach Miednik nas rozbili, przetrzymali cały tydzień. Próbowałem uciec z czterema kolegami – już żeśmy odeszli od Miednik 30 kilometrów, już były Ejszyszki, miasteczko. Nad ranem, bo tylko nocami żeśmy szli,

zobaczyliśmy niedaleko lasek. — „W tym lasku dzień przesiedzimy, wieczorem pójdziemy dalej.” Dochodzimy do lasku: — „*Stoj! Kto idiota?*”

Drapnęli nas z powrotem do Miednik. Trafiłem do Kaługi, później na *lesopowal*, gdzieś koło Igorowska. Przewieźli nas z Kaługi, do kilku miejsc, ma wyrąb lasu.

Miałem zmienione nazwisko, dane, wszystko inne. Ktoś widocznie, „*życzliwych*” jest zawsze wielu, podał moje właściwe nazwisko, „*syn pomieszczyka*”... No i mnie aresztowali, śledztwo — że chcieliśmy zbrojnie Zachodnią Białoruś oderwać od Związku Radzieckiego. Przypisali zbrojne akcje przypisali przeciwko rosyjskim partyzantom... Myśmy ścigali, ale ścigali bandytów, którzy chodzili i grabili po wioskach. Ale w ich pojęciu to byli partyzanci, no i nie było wyjścia. Zresztą, *śledzowiec* mi powiedział: „*Lisz by człowiekiem był, a dzieło to my najdiom.*”

I tak rzeczywiście, dostałem 15 lat. Sądzony w Moskwie, później pojechałem etapem na Workutę, w czerwcu 1945 roku.

Jeszcze takie dziwne zdarzenie, które warto podkreślić. Byliśmy na punkcie przesylnym w Wołogdzie. Tam siedzieliśmy chyba dwa tygodnie, może więcej; w więzieniu czasu nie liczyłem, tylko dzień, dzień, daty się nie pamięta. Była sala nieduża, 45 osób. Jak się wszyscy rozłożyli w nocy, przejść już nie można było. Nas, z partyzantki, było dziewięciu. Jak dzisiaj pamiętam — Olek Wysocki, wysoki chłop, wyższy chyba ode mnie, metr dziewięćdziesiąt albo więcej, Walicki, jeszcze kilku, nie pamiętam nazwisk. Myśmy siedzieli, w rosyjskim umundurowaniu.

W Kałudze byliśmy jako niby żołnierze szkoleni, żołnierze rosyjscy, w rosyjskich umundurowaniach, wszystko. Byliśmy przeznaczeni do Armii Czerwonej. Po paru miesiącach miała być przysięga rzekoma. Tam szkolenie — byliśmy już tak przeszkoleni pod względem bojowym, że lepiej nas nie wyszkolili. Ale ich musztra, język... Miała być przysięga i raptem decyzja zapada: koniec, dać umundurowanie — stare ciuchy, wojskowe, ale stare. Broń zabrali, wszystko zabrali. Najpierw cegły w Kałudze nosiliśmy z rozbitych domów, później nas wysłali na *lesopowal*. Widocznie stwierdzili — zresztą myśmy nie kryli, że byle tylko do Polski i tyle nas będą widzieć. Widocznie zreflektowali się.

Już na *lesopowale* wzywają mnie kiedyś w nocy. Ciemno, budzi mnie ten, który miał dyżur, „*wstawaj, do dowódcy*”. Przychodzę, tam już siedzi dwóch żołnierzy, „*sabirajsia, jedziem.*” Zawieźli mnie do *kontrrazwiedki*, to chyba Alabin, coś takiego; tzw. *smiersz* wojskowa. Przywieźli mnie, do aresztu od razu, i na przesłuchanie.

Przesłuchanie.

— Nazwisko?

— Sępski Marian.

— Oj nie, ty Sępski nie nazywasz się.

Mówię: — Nazywam się tak!

— Ty nazywasz się Laskowski Marian.

I zaczęli. Wszystko wiedzieli o mnie, więcej niż ja sam. Że jestem syna *pamieszczyka*, że byłem szkolony, dosłownie wszystko. Zabrali mnie, chyba z miesiąc tam siedziałem. W każdym razie przypisali mnie walkę z radziecką partyzantką, czego tam nie było! Oderwanie Zachodniej Białorusi... Sądzieli w Moskwie, dostałem 15 lat.

Ale idzie o Wołogdę. Jak było praktykowane podobnie we wszystkich przesyłkach, rzucili takich trzech *blatnych*, którzy zaczęli wszystkich grabić. Tam byli i Rosjanie, i z wielkimi workami. Zaczęli odbierać, obłupiać wszystkich. Do nas doszli, spojrzeli, myśmy w kątku siedzieli — „*A, soldaciki, soldaciki*”: nas nie tknęli nawet, bo co z *soldata* weźmiesz? Dochodzą, taki był Ormianin, Awakian się nazywał. On był w wojsku zachodnim, trafił tam podobno z armią Andersa. Był lekarzem przy jednostce wojskowej i jakimś psim swędem udało mu się wyjechać z razem z Polakami. Całą wojnę przeżył. Pięknie umundurowany, w angielskim mundurze, koce, pledy piękne, zapasowa bielizna. Podobno zaraz po wojnie była taka akcja, że „*rodina wsio prastila, wracajcie, trzeba do pracy*”. I on, między innymi, nabral się na to. Zdążył tylko samolotem do Moskwy przylecieć, od razu z lotniska go wzięli i uwięzili. Dostał 20 lat. Najpierw wyrok śmierci, później mu zamienili na 20 lat.

Blatni zaczęli Awakiana rozbierać. Zabrali koce, zapasową bieliznę, piękny mundur miał angielski. „*No to rozdziejajcie!*” Rozebrali go do kalesonów. „*Nasza chata z kraju*”, jak on sam nie potrafi, 40 osób nie potrafi obronić się, to co my?

Jak to wschodni ludzie lubią, wywalił wszystkie swoje zęby i wstawił złote. Makabrycznie to wyglądało, jak zaśmiała się — z takiego czerwonego złota... Makabrycznie wyglądał. No i popatrzyli: „*O! Zuby! Wybijem zuby.*” Nasi: „*Chłopaki... mordować człowieka, wybijać zęby, to nie pozwolimy.*”

No i myśmy wstali, jak nas było dziewięciu, i zaczęła się draka. Paru naszych nożem pocharatali — przecież więźniowie, wartownik wpuszcza, a oni noże w kieszeni mają! Byli celowo wpuszczeni, zresztą pewnie dzielili się grabionymi rzeczami z wartownikami. Zaczęła się draka straszliwa, zresztą pocharataliśmy ich trochę butami, bo nic więcej nie mieliśmy. Oni rzucili się do drzwi, „*Spasaj wachtior! Spasaj!*”, ten otworzył, zabrał ich. I na tym się skończyło.

Awakian był oczywiście strasznie wdzięczny. Mówi: — „*Nie wiem, Workuta jak słyszałem jest wielka, ale jeżeli kiedyś spotkam się, czy po wyjściu — pamiętajcie, że macie przyjaciół.*” No fajnie, „*przyjaciół*” — z wyrokami 15 — 20 lat, jakie tam „*po wyjściu*”?

Przyjechał on do obozu, był przecież lekarzem; trafił do przychodni. Trafił na tę samą kopalnię, co ja. Co dwa miesiące była tzw. *komisowka*. Ładnie się nazywała, a brzydko wyglądała. Całe stwierdzenie czy jest zdolny do pracy, czy nie jest zdolny, to trzeba było spodnie spuścić i obrócić się tyłem. Jeżeli jeszcze jakiś ślad mięśni był na zadku, nie same kości, to jeszcze zdolny był do pracy. Awakian uczestniczył w *komisowce*. Za skarby świata, dzisiaj mogę to pod

przysięgą powiedzieć – widziałem, poznałem go, ale co? Będę przyznawać się do znajomości, on w końcu jest lekarz itd.

Spisują, on kwalifikuje kto zdolny do pracy, a kto nie jest zdolny. Po trzech dniach, bo cała ta procedura tyle trwała, rano mam iść do pracy, *nariadczik* mówi:

– Dla ciebie nie ma chleba.

– Jak nie ma chleba, to ja do roboty nie idę.

To była święta rzecz, chleb musiał być.

– Pewnie ty w *san – czasti*...

Mówię: – Nie byłem w *san – czasti*.

– Ja nie wiem, pójdź do *san – czasti* i dowiedz się.

Poszedłem – a jakże, *Awakian* bez mojej zgody, bez pytania spisał mnie do szpitalika przy obozie. Tam przesiedziałem prawie półtora roku.

Czasami pomóc człowiekowi to... się opłaci, bo nie wiadomo, czy przez te półtora roku bym przeżył w tych najgorszych warunkach. Raz – aklimatyzacja. Przecież tak straszliwie puchło się tam, nie wiem, to jest kwestia klimatu czy ciśnienia? Te watawone spodnie są szerokie. Do tego stopnia nogi puchły, że trzeba było rozcinać, bo nie wchodziły. Pomimo, że człowiek chudy, ja ważyłem 60 kilo, tylko skóra i kości. A nogi jak bele spuchnięte. No, ale przeżyło się.

Później, w 1947 roku on mnie spisał do *san – garadka*. Był wydzielony poza obozem, też strzeżony, ale dla takich, którzy dłuższego leczenia potrzebują. W końcu zmieniła się załoga tego *san – garadka*, mnie wypisali i na etap na kopalnię 18. Jako że taki „nie rokujący”, każdy obóz wypychał takich, którzy mało pracowali.

Na kopalni 18 już aż do końca. Później, w drugiej połowie chyba 1953 roku zaczęli organizować kursy dla *gor – nadzora* – dla mechaników odcinka kopalni, dla sztygarów. Poszedłem na kurs dla mechaników odcinka kopalni. Pracowałem najpierw jako elektro – ślusarz, później zastępca odcinka kopalni, a już jak się zwalniałem to miałem kłopot ze zwolnieniem – główny mechanik nie chciał zwolnić, bo nie było nikogo na moje miejsce. Już byłem mechanikiem odcinka całego kopalni.

O! zdarzeń to jeszcze, jeszcze. Też jeden taki dziwny przypadek. To był rok... jeszcze w ostrym reżimie. Poznałem się w *sangaradku* i z lekarzami, z Rosjanami oczywiście. Tam jeszcze doktor *Buryło* był, podobno już nie żyje, tak słyszałem. Poznałem też rosyjskiego Ukraińca, *Szczeka* się nazywał, lekarz. Trafiłem na kopalnię 18, jego też tam przetrzucili. No to mnie znowu zakwalifikował do szpitala. Byłem u niego starszym sanitariuszem, lekarstwa roznosiłem, witaminy, tran. Przez jakiś krótki czas, póki go stamtąd znowu nie przetrzucili gdzie indziej.

Lekarz miał gabinet, a ja miałem takie łóżko – pryczę, naprzeciw tego jego gabinetu, żeby zawsze miał mnie pod ręką. Siedzę, a byłem spasiony, 100 kilo wtedy ważyłem. Dla lekarza żadna kuchnia nie odmówi jedzenia, przynosili takie ilości, że ja się najadłem, on się najadł i jeszcze dla kilku innych starczyło.

Siedzę. A był taki – podobno, taka przynajmniej opinia o nim – naczelnik obozu straszliwie rygorystyczny, ostry. Młody wojskowy w randze majora. Też za karę trafił do *Workuty*, oczywiście nie zdegradowany. On tak przelatuje, łypnął na mnie okiem, a ja tylko w bieliznie siedziałem. Myślę sobie: „koniec, do kopalni...”

Coś tam porozmawiał z lekarzem, za chwilę wybiega lekarz, mówi: – „*Marian chodź!*” Idę, jak na skazanie, ale idę. Stanąłem, stoję przy drzwiach, naczelnik spojrzął na mnie, do lekarza: – „*Wyjdźcie*”. Nie wiem można wierzyć, można nie wierzyć, ale miałem taki medalik, nie medalik; to było wyszywane, tzw. szkaplerzyk. Medaliki poodbierali, bo metalowe, w więzieniu, a to było miękkie i zostało. Na sznureczku, coś tam wypisane „*Matko Boska módl się za nami*” i taka wyhaftowana. Podchodzi do mnie, czyta, ale czyta tak, jak tam napisane: „*Matko Boska...*” – ze swoim akcentem „*módl się za nami*”.

– *Atkuda ty?!*

Ja mówię: – *Z Polski*.

– *Czy to twojo?*

– *Moje*.

– *Moj dziedz toż Palak był, mat' jeszcze charaszo razgawariwała. Ja uż nie imieju. Jeszcze mnie uczyła „Ojczy nasz”. No i nic, zostawił mnie, „idźcie z Bogiem”. Po jakimś czasie przychodzi. „Słuchaj, ja ci robotę załatwię w obozie, jako dla inwalidów” – *Szczeka* mnie opisał, że jestem ciężko chory i niesprawny do kopalni – „jako *dniewalny*”. To jest ten, kto sprząta barak, porządek utrzymuje; dwóch takich było zawsze. I mówi:*

– *Ja tebia na dniewalnowo pastawlu*, bo ja już odjeżdżam. *Moj srok konczyłsia*. Ale – mówi – pamiętaj, że już czasy się zmieniają, będzie coraz lżej. Jeszcze rok cię nie ruszą z tego miejsca, a później będzie już o wiele lżej.

Rzeczywiście tak było. Później już 1953 rok, mnie spisali do kopalni, *komisowka* była i stwierdzili, że jestem zdrów jak ryba i tłusty; do kopalni.

W 1948 roku utworzone obozy dla politycznych i oddzielono kryminalnych. W jaki sposób się zmienił, jeżeli w ogóle się zmienił, reżim, poza tym, że byli sami polityczni w obozie?

Teoretycznie tak, praktycznie zawsze było paru kryminalnych. Wszystkie *nariadcziki* – dyspozytorzy obozowi, to było wszystko nadal z kryminalnych. W zasadzie prawie całość była polityczna, ale zawsze kilkunastu, kilkudziesięciu mieli w obozie kryminalnych. Byli na lepszych stanowiskach, dyspozycyjni.

A czy w jakiś sposób zmienił się reżim, jakieś nowe reguły?

Nie, nie. Jak byliśmy zamknięci, tak byliśmy.

Numery też były poprzednio?

Były, tak, od samego początku. Od razu na przesyłce, w Workucie, w mieście, już nam nadali numer. Tam już zdjęli nasze wojskowe ubrania, dali obozowe waciaki — od razu powycinane, z powszywanymi łatami. To musiało być wycięte i wstawione w to miejsce w innym kolorze. I już numery nam nadali i mieliśmy je do końca. S — 754.

Wyrok Pana to było 15 lat ITŁ?

Nie, *tiażołych katorżnych rabot*, tak dosłownie to brzmiało, i *piat' liet porażenia w prawach*. I *wiecznoje pasielenie w atdalnych...*, już nie pamiętam; w oddalonych miejscach Związku Radzieckiego czy coś takiego.

A jak wyglądał dopływ informacji o świecie do obozu? Czy można powiedzieć, że byliście odcięci w ogóle?

Nie. Były głośniki — sam głośnik, bo radiowęzeł był tam w administracyjnym budynku. Ale głośnik cały czas brzęczał. Wiadomości rosyjskie myśmy mieli cały czas, bo cały czas ten głośnik brzęczał. A inne, to raczej tylko sporadycznie — gdzieś ktoś nowy aresztowany był... Przecież dowozili do 1949 roku, takie duże etapy były. Później coraz mniej, coraz mniejsze ilości dowozili. Ale do 1949 roku to przecież co tydzień, co dziesięć dni nowy etap do obozu przychodził. I stale brakowało.

* * *

koniec